

Akt I

Eryk Kesselman – zapomniany wojownik

Nagi, drżący, czułem jak zimno wciska się w każdy nerw, jakby góry same chciały mnie połknąć. Nie pamiętam, ile trwała pustka. Nie było godzin ani dni, tylko bezkresne nic, w którym wirowały wspomnienia bitew, ryku bestii i ostrza, które mnie rozdarło. Archaon. Widziałem jego spojrzenie, gdy umierałem. Potem powinienem trafić do Sigmara, powrócić do Tygla Dusz jak wszyscy bracia. Ale nie… coś mnie odrzuciło. Unosiłem się poza czasem, rozciągnięty w wiecznym bezruchu. Tam nie było gniewu ani chwały, tylko cisza i chłód, który gnił od środka. A potem – błysk. Najpierw światło jak rozżarzony miecz, później ból tak gwałtowny, że krzyknąłem, choć nie miałem ust. Otworzyłem oczy. Byłem człowiekiem. Ciało ciężkie, kruche, śmiertelne. Skóra szczypała od lodu, a płuca paliły, jakby pierwszy raz nauczyły się oddychać. Leżałem na kamieniach, a śnieg oblepiał mnie, z każdą chwilą próbując pogrzebać.Nie miałem zbroi. Nie miałem młota. Nie miałem nawet imienia, które kiedyś krzyczeli towarzysze w bitwie. Tylko blizny, które pozostały po czymś, co nie powinno się wydarzyć. Ale żyłem. I to życie pachniało cierpieniem i strachem, jakbym znów miał je sobie wykuć. Śnieg szeleścił, a ciemność gór pęczniała od złowrogich oczu. Z początku myślałem, że to duchy przeszłości, że pustka nadal igra ze mną – ale wtedy usłyszałem niski warkot, narastający jak bęben przed bitwą. Wilki. Oblegały mnie, wychodząc z drzew, krążyły ciasnym półksiężycem, czekając aż upadnę, aż mróz dokona reszty. Nie miałem stali. Tylko odłupany kamień - krzemień ostrzony drżącymi palcami, któremu nadałem kształt noża. Śmieszna, żałosna broń dla kogoś, kto kiedyś dzierżył młot, od którego trzęsły się mury. Gdy alfa wysunął się naprzód – biały jak otaczający mnie śnieg, z oczami jarzącymi się jak węgiel – poczułem dawne echo. Instynkt wojownika. Dusza nie zapomina, choć umysł może zostać zdradzony. Krzyczałem, by zagłuszyć własny strach, i rzuciłem się na bestię.
Zęby szarpały moje ramię, pazury darły ciało, ale kamień ciął raz za razem, aż krew zabarwiła śnieg na karmazyn. Wilk padł. Alfa nie żył. Stado zawyło, a potem cofnęło się w las, gnane nie siłą mojego oręża, lecz śmiercią swojego wodza. Stałem tam, oszarpany i ociekający krwią, a w ustach czułem gorzki smak zwycięstwa. Żyłem, ale nie dzięki Sigmarowi. On mnie opuścił. Gdzie był jego gniew, gdzie jego światło, gdy gryzły mnie wilcze kły? Oskórowałem padlinę kamiennym ostrzem –

dłonie miałem zgrabiałe, ruchy mechaniczne. Narzuciłem na siebie wilczą skórę, jakbym chciał ukryć własną hańbę pod futrem. Bez niego zamarzłbym nagi w śniegu. Ruszyłem dalej, w góry, nie wiedząc dokąd prowadzą moje kroki. Nie pamiętałem swojego imienia. Tylko to, że byłem kimś więcej, a teraz jestem nikim. Ciałem zrodzonym z pustki, które idzie przed siebie, aż znajdzie odpowiedź – albo zgubę. Śnieg ustępował mi niechętnie, każdy krok był walką, jakby góry chciały połknąć moje kości i zatrzeć wszelki ślad mojego istnienia. Po niezliczonych dniach błądzenia – liczyłem je już tylko słabnącymi oddechami – natrafiłem na zarys kamienia. Nie był to zwykły głaz ani skała. Spoza bieli i wichru majaczyła sylwetka wieży, chylącej się ku ziemi, lecz wciąż stojącej. Twierdza, świątynia? Nie wiedziałem. Lecz była to ostatnia deska ratunku. Podszedłem bliżej, wspinając się po zwałach śniegu. Ściany, popękane i nadgryzione czasem, wciąż trwały, a w ich cieniu wiatr śpiewał ciszej. Wszedłem przez wybite wrota, a cisza wewnątrz uderzyła mnie mocniej niż zewnętrzna burza. Tam, w samym sercu ruiny, leżał ołtarz. Zasypany płatkami śniegu, niemal zapomniany. A jednak jego kształt był jasny: wyrzeźbiona sylwetka mężczyzny, który zdawał się wyrastać z kamienia niczym duch. Jego ciało wspinało się ku górze, ręce uniesione, a w dłoniach trzymał młot, jakby wciąż czekał na bitwę. Na plecach miał wyrzeźbioną skórę bestii – zdawać by się mogło... wilka. Patrzyłem na to z gorzkim uśmiechem. Ironia, pomyślałem. On – kamienny wojownik z futrem dzikiej bestii. I ja – obdarty ze wszystkiego, okryty skórą białego wilka, którego musiałem zabić, by przeżyć. W tej chwili poczułem coś dziwnego. Nie Sigmara – jego obecność była nieobecnością, wyrwą, raną w duszy. To było inne. Jak echo, które odbijało się w mojej piersi od chłodnych ścian tej twierdzy. Jakby ktoś – albo coś – patrzyło na mnie z wyrzeźbionych oczu. Przysiadłem przy ołtarzu. Nie z modlitwą, bo nie miałem już komu ufać. Raczej z ciężarem w piersi, jakbym tracił siłę woli by walczyć dalej o życie. Śnieg sypał dalej, cicho, jakby chciał pogrzebać i mnie, i ten zapomniany kamień. Nagle kamień zadrżał pod moimi stopami. Najpierw myślałem, że to kolejny żart pustki, że umysł wciąż igra ze mną po tych dniach błądzenia. Ale potem ołtarz, dotąd nieruchomy i milczący, zadrżał ponownie, a z podłogi usypanej śniegiem odezwał się głuchy trzask. Lód popękał, a kamienne płyty rozsunęły się, ukazując schody prowadzące w dół. Zszedłem ostrożnie. Schody skrzypiały pod ciężarem moich kroków, jakby nigdy nie miały być użyte ponownie. Piwnica była ciemna, zimna jak trumna, a w powietrzu unosił się zapach kurzu i rdzy. Ściany szeptały echem moich oddechów, a przede mną majaczyły spróchniałe skrzynie, rozsypujące się w proch przy najlżejszym dotyku. W kącie, pośród bezużytecznych zardzewiałych mieczy i pękniętych belek, leżała ona – posrebrzana skrzynia. Nie zżarta przez czas, nie tknięta korozją. Jej powierzchnia połyskiwała bladym światłem, jakby odpychała od siebie rozkład. Dłonie drżały, gdy unosiłem wieko. W środku czekały cztery rzeczy. Młot bojowy – ciężki, lecz wyważony, runy na jego głowicy przetarte, lecz wciąż czytelne. Znałem ten ciężar, znałem ten kształt. Jak echo dawnej chwały, gdy jeszcze byłem czymś więcej niż człowiekiem. Księga – oprawiona w białe futro, gładkie, chłodne. Nie znałem znaków, które zdobiły jej strony, ale czułem w nich moc, szorstką i dziką. Naszyjnik – prosty, lecz piękny. Wisiorek z wygrawerowanym w srebrze wilkiem, patrzącym ku księżycowi. Zadrżałem, bo wydawało się, że ten wzrok przebija mnie na wskroś. I list. Stary, kruchy jak popiół. Rozsypywał się w moich dłoniach, każde dotknięcie zamieniało pergamin w szary pył. Zdołałem jednak odczytać kilka słów i imię - Eryk Kesselman. Zamarłem. Czy to było moje imię? Dawne, utracone, które pustka we mnie wypaliła? Czy też ktoś inny, który tutaj przed wiekami schronił się w tej samej ruinie lub stworzył to

miejsce? Ścisnąłem naszyjnik, a w piersi coś zadrżało. Może pierwszy raz od momentu, gdy otworzyłem oczy w śniegu. Eryk Kesselman… imię, które być może należało do mnie. Albo imię, które dopiero miałem przyjąć...

*****

Świątynia, choć zrujnowana i porzucona, stała się moją twierdzą. Nie miałem dokąd pójść, nie znałem swojego celu ani imienia, więc zostałem tu – wśród pękniętych ścian i zmarzniętych kamieni. Zbierałem drwa w dolinach, rozbijałem je na opał, a ogień stał się moim sprzymierzeńcem. Polowalem na drobną zwierzynę, i wyszarpywałem korzenie spod śniegu, a zdobyte mięso piekłem na płomieniu. Z każdą nocą ciało odzyskiwało siły, a duch – choć nadal rozdarty – powoli przyzwyczajał się do tego śmiertelnego ciężaru. W dzień zajmowałem się kamieniami. To, co zostało ze świątyni, potrzebowało dłoni, które jeszcze wierzyły w porządek, a nie w chaos. Układałem bloki, wzmacniałem ściany śniegiem i gliną, szukałem wśród ruin narzędzi, które czasem jeszcze nadawały się do użytku. Każdy ruch był mozolny, jakby odbudowywał nie tylko to miejsce, ale i mnie samego. Ale nocą… nocą miałem towarzysza. Pojawiał się zawsze wtedy, gdy wiatr milkł. Jeden wilk. Szedł ścieżką wśród skał i siadał nieopodal ognia, na skraju cienia. Nigdy nie podchodził bliżej, lecz też nie odchodził szybko. Wycie niosło się echem po górach, a ja słuchałem go, jakby było modlitwą – albo przekleństwem. Z czasem rozpoznałem go. Wysoki, chudy, z bliznami na pysku. Wygnańca łatwo poznać. Samotnik, jak ja. Odganiał go płomień, lecz w oczach miałem wrażenie, że widzę coś znajomego – głód, ból, pragnienie, by należeć do czegoś większego niż samotność. Wieczór po wieczorze jego pieśń mieszała się z trzaskiem mojego ognia. A ja, w ciszy świątyni, czułem, że to miejsce – choć martwe – zaczyna tętnić nowym życiem. Moim i… jego.

*****

Usłyszałem to w południe – dźwięk, którego nie można pomylić z niczym innym. Szczęk metalu, krzyki bólu i triumfu, ryk bestii. Bitwa. Echo odbijało się od gór, niosło w doliny jak wołanie bogów. Krew zawrzała mi w żyłach – instynkt, którego nie mogłem zagłuszyć. Bez zastanowienia porzuciłem zbierane drewno i chwyciłem młot. Ciężar był znajomy, jakby moje dłonie czekały na ten moment od chwili, gdy znów otworzyłem oczy w śniegu. Znalazłem ich szybko. Oddział ludzi, może kilkunastu, ściśniętych w kręgu tarcz, otoczonych przez zielonoskórych. Orki ryczały, zębate paszcze pełne piany, ich topory błyskały w blasku dnia. Ludzie bronili się dzielnie, ale już chwiali się pod naporem, już widziałem, że lada chwila zostaną zmiażdżeni. Nie czekałem. Z rykiem runąłem z góry, młot uderzył w pierwszego orka z siłą lawiny. Kości pękały, ziemia drżała. Dłonie pamiętały – cios, obrót, tarcie powietrza, kolejne uderzenie. Jak wtedy, gdy byłem więcej niż człowiekiem. Jak wtedy, gdy imię Sigmara niosło mnie w bój. Orkowie cofali się, kręgiem padając w śnieg, krew barwiła biel na czarno-czerwony gnój. Rozbiłem ich niemal wszystkich. Ale w końcu… ciało. To śmiertelne, kruche ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Płuca paliły ogniem, mięśnie odmówiły działania, nogi ugięły się pode mną.

Upadłem na kolana, dysząc ciężko, opierając się o młot. Ostatni z orków, ten, który ocalał, zaryczał i ruszył ku mnie. Widziałem błysk topora, czułem chłód śmierci. A potem cień. Biały wilk. Ten sam, który od dni krążył wokół mojej świątyni, towarzysz nocy i ognia. Wyskoczył z zarośli, zęby zatopiły się w gardle zielonoskórego. Krzyk zmienił się w bulgot, a reszta ocalałych orków rozproszyła się, uciekając w popłochu. Wilk zawył triumfalnie, a jego spojrzenie padło na mnie. Nie było w nim wrogości – tylko więź. Ludzie podbiegli. Zranieni, wyczerpani, ale żywi. Klękali obok mnie, unosili mnie z ziemi, a w ich ustach brzmiały słowa, które uderzyły jak nóż:

– Dzięki Ci, w imię Sigmara!

Sigmar. To imię, które we mnie umarło. Nie dla niego walczyłem. Nie dla niego przelewałem krew. A jednak oni widzieli we mnie jego dłoń. Jakbym dostał obuchem w twarz. Zebrałem ich, rannych i ocalonych, i poprowadziłem ku ruinie. Ku mojej świątyni, która teraz stała się nie tylko moim schronieniem. Ale ich.

*****

Przy ogniu w ruinach, gdy noc przykrywała góry, słuchałem ich głosów. Opowiadali o swojej misji, z ust do ust, jakby bali się zapomnieć jej sensu w tym pustkowiu. Przybyli tu, by odnaleźć moc – tajemniczą, ukrytą w sercu tej krainy. Moc która miała odmienić losy ich ojczyzny rozdzieranej wojną. Szli śladami legend i zakazanych map, wciąż wierząc, że Sigmar wskazał im drogę. Od nich dowiedziałem się, gdzie jestem. Góry Varrock. Miejsce, o którym nigdy nie słyszałem, a jednak czułem, jakby ta nazwa była zapisane we mnie od dawna. Gdy mówili, ich słowa odklejały kurz od mojego umysłu, kawałek po kawałku przywracały mi świadomość świata, w którym znów żyłem. Pomogli mi odbudować twierdzę. Nie była już tylko ruiną – wzmocniliśmy mury, załataliśmy dach, naprawiliśmy wejścia, aby mogła chronić nas za dnia przed zimnem i nocą przed bestiami. Wspólna praca, ich dłonie obok moich, sprawiły, że te martwe ściany znów zaczęły oddychać. A wilk… Wilk wciąż trzymał się z daleka. Nie zbliżał się do ognia ani do ludzi. Lecz gdy opuszczałem twierdzę – na polowanie, po drewno, na zwiady – zawsze był blisko. Czułem jego obecność, jak cień sunący za mną po śniegu. W jego żółtych oczach była dzikość, ale i coś, czego nie potrafiłem nazwać. Wtedy zdecydowałem. Pomogę im. Potrzebowali wodza – kogoś, kto poprowadzi ich nie tylko przez śnieg i skały, ale przez strach, który zaciskał ich serca. Patrzyli na mnie, jakbym już nim był, choć sam nie wiedziałem, kim jestem. I wtedy poczułem to. Obecność. Nie taką, jaką niósł Sigmar, gdy byłem jego wojownikiem – jego światło było jak żar bijący z góry, triumfalne i ciężkie. To było inne. Chłodne, dzikie, jak wiatr, który niesie echo wilczego wycia. Ta moc była ze mną zawsze, gdy pojawiał się wilk. Jakby coś patrzyło z jego oczu. Jakby w tej dzikiej sile było przeznaczenie, którego jeszcze nie rozumiałem – ale które coraz mocniej splatało się z moim losem. Nie chciałem być ich wodzem. Nie pragnąłem sztandaru, ani pieśni, ani ślubów w imię bogów, którzy porzucają swoich wojowników. A jednak, gdy ruszyliśmy z twierdzy, gdy ludzie spojrzeli na mnie, w ich oczach widziałem wiarę, której sam nie czułem. To wystarczyło.

Była to banda nieliczna, ale zaprawiona w boju. Ich ramiona znały ciężar miecza, ich serca znały strach, lecz nie pozwolili, by ich złamał. Byli gotowi iść tam, gdzie inni już dawno by uciekli.



Nieśliśmy sztandar. Nie z symbolem Sigmara, nie z gwiazdą czy młotem. Biały wilk – wyhaftowany na płótnie, prosty, lecz żywy w oczach wszystkich, którzy go widzieli. Nie moja duma kazała go unieść, lecz ich wiara. A kiedy pierwszy raz powiał wiatr i porwał go w górę, usłyszałem w oddali wycie – i wiedziałem, że wilk idzie z nami. Szliśmy w ślad za wojną. Tam, gdzie chaos zostawiał spalone pola, tam, gdzie orkowie ryczeli wśród trupów, tam, gdzie plugawi magowie szerzyli strach. Nasze kroki prowadziły ku bitwie, a ślady w śniegu znaczyły drogę ku przeznaczeniu. Nie Sigmar był ze mną, nie jego imię niosłem na ustach. To była inna moc - chłodna, dzika, wolna od blasku złotych tronów. Moc, która kryła się w cieniu, w ogniu oczu wilka. I tak ruszyliśmy. Niewielka drużyna, lecz serca mieliśmy jak armia. Szliśmy pod sztandarem białego wilka.

*****



Akt II
Narodziny Zimowej Twierdzy

Po kampanii w krainie Gondii Eryk Kesselman nie złożył miecza. Choć wielu po zakończeniu wojny uznałoby swoją powinność za spełnioną, on wiedział, że walka ze złem nigdy nie kończy się wraz z jednym zwycięstwem. Cienie, które raz zostały przegnane, zawsze próbują powrócić, a świat pełen był jeszcze miejsc, gdzie niewinni potrzebowali ochrony.

Wieść o czynach Eryka szybko rozeszła się poza granice ziem, na których wcześniej działał. Do Zimowej Twierdzy zaczęli przybywać ludzie szukający nie tylko schronienia, ale również celu. Przyłączali się do niego wojownicy, którzy stracili swoje domy w wojnach, rycerze zakonni pragnący ponownie służyć sprawie większej niż własne ambicje, a także żołnierze rozbitych armii z odległych miast, którzy nie chcieli porzucić swojego rzemiosła. Wśród nich znaleźli się również inżynierowie i rzemieślnicy znający tajniki broni prochowej, którzy widzieli w Eryku kogoś, kto wykorzysta ich wiedzę w słusznej sprawie. Dla obrony ludzi.

Z tygodnia na tydzień szeregi Eryka rosły. Z garstki wiernych towarzyszy powstała prawdziwa wspólnota wojowników. Ci, którzy wcześniej walczyli samotnie przeciwko bestiom, bandytom i plugastwom Chaosu, teraz stali ramię w ramię jako jedna siła. Eryk szybko zrozumiał, że nie może dłużej działać tak jak dawniej. Nie był już tylko wędrownym, porzuconym przez sigmara wojownikiem pomagającym pojedynczym wioskom. Stał się przywódcą ludzi, którzy powierzali mu swoje życie.

Ciężar odpowiedzialności zmusił go do podjęcia trudnych decyzji. Wiedział, że prawdziwy dowódca nie jest tym, który zawsze stoi na pierwszej linii, lecz tym, który potrafi zaufać innym. Dlatego spośród najbardziej doświadczonych i oddanych wojowników wybrał swoich pierwszych dowódców.

Mianował dwóch kapitanów, ludzi, których odwaga, rozsądek i lojalność zostały sprawdzone w boju. Rycerz zakonu gryfa Theodor D'moncart oraz weteran z odległego miasta-państwa Misthavn o imieniu Victor Dakkenclaw stali się jego osobistym sztabem, doradzając mu i pomagając w podejmowaniu decyzji. Pod ich rozkazami znalazło się kilkunastu dziesiętników dowodzących mniejszymi oddziałami. Niektórzy z nich z czasem otrzymali pieczę nad większymi grupami, gdyż liczebność sił Eryka przekroczyła dawne wyobrażenia. Każdy z nich wiedział jednak, że nie służy

zwykłemu najemnikowi ani zdobywcy ziem. Służył człowiekowi, który przez całe życie stawiał cudze bezpieczeństwo ponad własne.



W tym czasie Zimowa Twierdza zaczęła zmieniać swoje oblicze. Dawna siedziba Eryka, niegdyś jedynie samotna warownia na uboczu cywilizacji, została rozbudowana i umocniona. Kamienne mury zostały wzmocnione, powstały nowe koszary, magazyny, warsztaty oraz stanowiska dla artylerii i broni prochowej. Twierdza stała się miejscem, do którego mogli przybyć ci, którzy uciekali przed mrokiem, ale również miejscem, z którego mrok miał być odpierany.

Wkrótce mieszkańcy okolicznych gór zaczęli opowiadać historie o Zimowej Twierdzy. Mówiono o jej żelaznych bramach, o płonących pochodniach widocznych podczas najcięższych zamieci i o wojownikach, którzy patrolowali przełęcze nawet wtedy, gdy inni bali się opuścić swoje domy. Jedni widzieli w niej ostatni bastion cywilizacji, inni szeptali, że w górach powstała nowa siła, której nawet najciemniejsze stworzenia powinny zacząć się obawiać.

Sam Eryk pozostał jednak taki sam jak dawniej. Nadal nosił prosty pancerz, nadal pomagał mieszkańcom okolicznych osad i nadal pamiętał, że jego pierwszą przysięgą nie była władza, lecz służba. Wśród rosnącej armii, tytułów i murów twierdzy wciąż był tym samym wojownikiem. Jednak świat wokoło już nie widział w nim jedynie dzielnego woja.Widział dowódcę. Widział obrońcę. Widział człowieka, wokół którego zaczęła rodzić się legenda.

****



Wyprawa na Południe – Przysięga Gryfa

Wśród wielu wojowników, którzy dołączyli do szeregów Eryka Kesselmana, jednym z najbardziej zaufanych był Theodor D'Moncart. Człowiek o surowym spojrzeniu, żelaznej dyscyplinie i nienagannym poczuciu obowiązku. Zanim stanął u boku Eryka, służył w szeregach Zakonu Gryfa – rycerskiej wspólnoty, która przez lata strzegła swoich ziem i ludzi, aż do dnia, gdy została rozbita przez hordę nieumarłych prowadzonych przez wampirzego lorda.

Dla większości był to już tylko kolejny upadły zakon, kolejna historia o bohaterach, których czas przeminął. Dla Theodora jednak przeszłość nigdy nie została pogrzebana. Na jego ramionach wciąż spoczywał ciężar przysięgi złożonej swojemu mistrzowi zakonnemu. Przysięgi, że będzie chronił dziedzictwo Gryfa, jego ziemie i ludzi, nawet jeśli oznaczałoby to samotną walkę przeciwko całemu światu.

Przez długi czas Theodor milczał. Widział, jak siły Eryka rosną, jak z garstki wojowników powstaje armia, lecz nie chciał wykorzystywać przyjaźni ani pozycji, którą zdobył u boku Kesselmana. Wiedział jednak, że nadszedł moment, w którym musi poprosić o pomoc.

Pewnego wieczoru, przy świetle ognia płonącego w jednej z sal Zimowej Twierdzy, przedstawił Erykowi swoją prośbę. Chciał, aby rozważył odbicie dawnej twierdzy Zakonu Gryfa.

Nie była to jedynie ruina pozbawiona znaczenia. Forteca znajdowała się w strategicznym miejscu – u ujścia ogromnej rzeki, w miejscu, gdzie szlaki handlowe i wojskowe krzyżowały się między krainami. Jej odzyskanie mogło zapewnić bezpieczny punkt obrony, kontrolę nad ważnymi drogami oraz nową bazę dla dalszej walki ze złem.

Theodor mówił o znaczeniu twierdzy, o jej murach, położeniu i wartości militarnej. Przedstawiał argumenty, które przemawiały do rozsądku dowódcy. Jednak Eryk widział prawdę ukrytą między słowami. Dla Theodora nie chodziło tylko o strategię. Chodziło o honor. O przysięgę. O ludzi, których nie zdołał ocalić. O miejsce, które było symbolem wszystkiego, czemu poświęcił swoje życie. Eryk znał to uczucie aż nazbyt dobrze. Sam nosił ciężar przeszłości, własnego dziedzictwa stormcasta, którego nie mógł porzucić. Wiedział, czym jest życie z niedokończoną sprawą, która każdego dnia przypomina o sobie niczym rana, która nigdy nie chce się zagoić.

Nie mógł zostawić przyjaciela samego. Dlatego zgodził się. Dla Eryka wyprawa ta miała jednak jeszcze inne znaczenie. Od wielu miesięcy jego ludzie nie brali udziału w większych bitwach. Nowi rekruci byli dobrze wyszkoleni, znali dyscyplinę, taktykę i podstawy walki, lecz żadna sala

treningowa nie mogła zastąpić prawdziwego pola bitwy. Eryk wiedział, że wojownik może znać wszystkie ruchy miecza, może godzinami ćwiczyć szyk i posługiwanie się bronią, ale dopiero pierwszy huk bitwy, zapach krwi i pot, krzyk rannych oraz ciężar prawdziwego zagrożenia pokazują, kim naprawdę jest człowiek.

Nie chciał jednak wysłać swoich ludzi na śmierć dla samego doświadczenia. Jego celem nie było stworzenie armii zdobywców. Chciał stworzyć obrońców – ludzi zdolnych stanąć między niewinnymi a tymi, którzy chcieli ich skrzywdzić.

Odbicie twierdzy Gryfa miało więc stać się nie tylko misją honorową, ale również próbą dla jego rosnących szeregów. Próba tego, czy młodzi rekruci Zimowej Twierdzy byli gotowi stać się prawdziwymi wojownikami.

Przygotowania rozpoczęły się natychmiast. Kowale pracowali dniami i nocami, zbrojmistrze sprawdzali wyposażenie, a dowódcy szkolili oddziały do marszu i walki. Theodor D'Moncart po raz pierwszy od wielu lat znów zobaczył sztandar Gryfa unoszący się obok symbolu białego wilka. Nie jako znak przeszłości. Lecz jako zapowiedź powrotu.

W końcu nadszedł dzień wymarszu. Oddziały Zimowej Twierdzy opuściły góry i skierowały się na południe. Przed nimi znajdowały się ziemie, których Eryk nigdy wcześniej nie widział lub zwyczajnie nie pamiętał. Zostawiali za sobą skute lodem szczyty, lasy i znajome ścieżki, kierując się ku wybrzeżom nieznanego mu morza. W Zimiowej Twierdzy pozostał jedynie garnizon obronny, który miał kontynuować ich pracę w górach i oczekiwać powrotu swojego wodza.

Dla wielu żołnierzy była to pierwsza wielka wyprawa. Dla Theodora – powrót do utraconego domu. Dla Eryka – kolejny krok w walce, której końca nie potrafił dostrzec. Maszerowali nie po bogactwo ani sławę.

Maszerowali, by odbudować to, co zostało zniszczone i by udowodnić, że nawet upadłe twierdze mogą jeszcze raz wznieść swoje sztandary i stać się cierniem w oczach mrocznych bogów.

*****

Po wielu tygodniach marszu armia Eryka Kesselmana dotarła do celu swojej wyprawy. Nad deltą potężnej rzeki, gdzie jej liczne odnogi wpadały do zimnego morza, górowała twierdza Zakonu Gryfa. Choć od 5 lat pozostawała opuszczona przez ludzi i ucierpiała w trakcie oblężenia, wciąż robiła ogromne wrażenie. Została wzniesiona na wysokim skalnym cyplu i otoczona z trzech stron wodą i bagnami. Samo otaczające ją miejsce stanowiło naturalną przeszkodę dla każdego napastnika. Potężne mury z jasnego granitu nosiły ślady oblężeń – wykruszone blanki, spękane baszty i wypalone fragmenty murów przypominały o bitwach sprzed wielu lat. Nad główną bramą nadal widniał wykuty w kamieniu gryf z rozpostartymi skrzydłami, choć jego głowa została odtrącona, a na murach wisiały poszarpane sztandary pokryte zaschniętą krwią i czarnymi symbolami nekromancji.

Twierdza nie była jednak martwa. Gdy tylko zwiadowcy zbliżyli się do murów, pomiędzy blankami zaczęły pojawiać się nieruchome sylwetki. Dziesiątki szkieletów w zardzewiałych zbrojach, dawno polegli rycerze i piechurzy, których ciała zmuszono do służby po śmierci. W ruinach dziedzińca błąkały się ghule, a w najwyższej wieży wyczuwalna była złowroga obecność istoty, która od lat władała całą twierdzą. Wampira. Eryk nie zamierzał prowadzić długiego oblężenia. Każdy dzień zwłoki dawał nieumarłym czas na umocnienie pozycji i sprowadzenie kolejnych sług ciemności. Rozkazał przygotować działa, tarany i drabiny oblężnicze, a przed świtem jego armia ruszyła do szturmu.

Pierwsze salwy artylerii roztrzaskały część murów i wyłamały główną bramę. Zaraz potem ruszyła piechota, osłaniana przez kuszników i strzelców z bronią prochową. Huk wystrzałów odbijał się echem od kamiennych ścian, mieszając się z rykiem wojowników i nieludzkim wyciem nieumarłych.



Na murach rozgorzała zaciekła walka. Nowi rekruci po raz pierwszy stanęli twarzą w twarz z prawdziwym koszmarem. Wielu z nich jeszcze nigdy nie widziało przeciwnika, który mimo odciętej ręki nadal nacierał, ani szkieletów wspinających się po własnych poległych. Strach zbierał swoje żniwo równie skutecznie jak miecze.

Eryk walczył tam, gdzie linia obrony chwiała się najbardziej. Raz po raz przebijał się przez szeregi nieumarłych, dodając odwagi swoim ludziom. Kapitanowie utrzymywali szyki, a dziesiętnicy prowadzili swoich wojowników przez zalane krwią dziedzińce.

Cena zwycięstwa okazała się jednak wysoka. Co czwarty z nowych rekrutów poległ podczas szturmu. Jedni zginęli od mieczy dawnych rycerzy Zakonu Gryfa, których ciała sprofanowano mroczną magią. Inni zostali rozszarpani przez ghule lub stratowani podczas walk na wąskich schodach prowadzących na mury.

Eryk nie odwracał wzroku od poległych. Każde nazwisko zapamiętał. Każdy wojownik, który oddał życie tego dnia, uczynił to, wierząc, że chroni tych, którzy sami nie potrafią się obronić. Taka była droga, którą wybrali. Wojownik nie szuka śmierci, lecz nigdy przed nią nie ucieka. Bo śmierć jest nieuchronna. Liczy się jedynie to, czy nadejdzie w słusznej sprawie.

Gdy walki na murach zaczęły cichnąć, wszyscy wiedzieli, że najważniejsze starcie dopiero się rozpoczyna. W najwyższej wieży czekał władca twierdzy. Theodor D'Moncart nie pozwolił nikomu wejść tam przed sobą. Był to jego obowiązek. Jego przysięga i zemsta.

Komnaty wieży nosiły ślady dawnej świetności Zakonu Gryfa, lecz zostały zbezczeszczone przez lata panowania nieumarłych. Ołtarze rozbito, herby zamalowano krwią, a w sali mistrza zakonnego na kamiennym tronie siedział wampir odziany w zbroję należącą niegdyś do wielkiego mistrza.

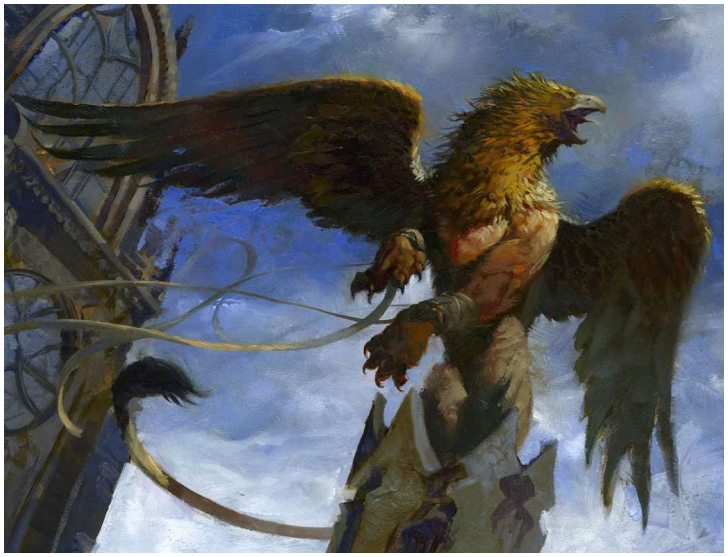
Pojedynek trwał długo. Stal ścierała się z nadludzką siłą potwora, a każdy cios mógł zakończyć życie rycerza. Theodor walczył jednak nie tylko mieczem, lecz również pamięcią o wszystkich braciach zakonu, którzy polegli w obronie tej twierdzy. Choć wampir był szybszy i silniejszy od zwykłego człowieka, nie potrafił złamać jego woli.

W decydującej chwili Theodor wykorzystał chwilę nieuwagi przeciwnika i przebił jego serce poświęconym ostrzem. Potwór zawył, a jego ciało rozsypało się w popiół, który wiatr wyniósł przez rozbite okno wieży.

Wraz ze śmiercią wampira magia podtrzymująca jego sługi zaczęła słabnąć. Ostatnie szkielety osuwały się na kamienne posadzki, a cisza po raz pierwszy od wielu lat zapanowała w murach Twierdzy Gryfa.

Na najwyższej baszcie ponownie zawisł sztandar Zakonu Gryfa. Obok niego Eryk rozkazał wznieść chorągiew Zimowej Twierdzy. Nie jako znak podboju. Lecz jako symbol braterstwa zawartego we krwi tych, którzy wspólnie odzyskali miejsce, o którym świat zdążył już zapomnieć.

*****



Po zakończeniu walk oczyszczanie twierdzy trwało jeszcze wiele dni. Komnata po komnacie, korytarz po korytarzu, piwnica po piwnicy – wojownicy Eryka przeszukiwali każdy zakątek, paląc pozostałości nekromanckich rytuałów i grzebiąc poległych z należnym im szacunkiem.

Dopiero gdy dotarli do dawnych zakonnych stajni , odkryli coś, czego nikt się nie spodziewał.

W najgłębszej komorze, wykutej częściowo w litej skale, znajdowała się ogromna żelazna klatka. Jej kraty były powyginane od potężnych uderzeń, a kamienne ściany nosiły głębokie ślady szponów. Grube łańcuchy, grubsze od ludzkiego ramienia, przykuwały do skalnego filaru ogromnego królewskiego gryfa.

Nawet uwięziony budził respekt.

Jego upierzenie miało niezwykłą barwę – pióra na karku i skrzydłach mieniły się głęboką czerwienią przypominającą płomienie, podczas gdy złociste pióra na piersi zdawały się odbijać światło niczym rozżarzony metal. Jedno oko pozostawało szeroko otwarte, pełne gniewu i dumy. Drugie było martwe – pokryte długą, poszarpaną blizną, świadectwem dawno stoczonej walki.

Stworzenie ryczało z wściekłości na widok ludzi. Szarpało łańcuchy z siłą zdolną skruszyć kamień.

Jednak nie jego wygląd budził największy niepokój.

Nad gryfem unosiła się aura śmierci.

Nekromanci przez długie lata próbowali złamać jego wolę i zbezcześcić jego ciało. Rytuały pozostawiły po sobie widoczne piętno. Zwierzę nie było już w pełni żywe... ale nie stało się

również nieumarłym. Trwało zawieszone pomiędzy dwoma światami. Nie oddychało jak zwykłe stworzenie. Nie pachniało śmiercią. Nie reagowało na magię nekromancji. Było czymś, czego nikt z obecnych nie potrafił nazwać. Eryk długo patrzył na bestię. W końcu położył dłoń na rękojeści miecza.

— To nie powinno istnieć — powiedział cicho. — Jeżeli cierpi, zakończę jego mękę.

Nim jednak ostrze opuściło pochwę, przed nim stanął Theodor D'Moncart. Kapitan nie podniósł głosu.

— Nie, mój panie.

Eryk spojrzał na niego pytająco.

— To nie jest potwór. To ostatni strażnik tej twierdzy. Nekromanci nie zdołali złamać jego ducha, choć próbowali odebrać mu ciało. Przetrwał to, czego nie przetrwałby żaden człowiek.

Theodor zbliżył się do klatki.

— To znak. Nie od bogów... lecz od samych rycerzy Zakonu Gryfa. Nasza twierdza przetrwała. Nasz honor przetrwał. A duch poległych wciąż czuwa.

Przez dłuższą chwilę w stajni panowała cisza. W końcu Eryk skinął głową.

— Uwolnić go.

Kowale i inżynierowie ostrożnie rozkuwali kolejne łańcuchy. Każde ogniwo spadające na kamienną posadzkę rozbrzmiewało niczym uderzenie dzwonu. Gdy opadł ostatni z nich, gryf nie rzucił się na ludzi. Powoli wyszedł z klatki. Jego potężne szpony stukały o kamień, a ogromne skrzydła rozłożyły się z głośnym szelestem. Przez chwilę wszyscy byli przekonani, że bestia zaatakuje. Zamiast tego podeszła prosto do Eryka. Spojrzała na niego jedynym zdrowym okiem. Przez długą chwilę człowiek i gryf mierzyli się wzrokiem. Po czym wydarzyło się coś, czego nikt z obecnych nie zapomni do końca życia. Królewski gryf powoli opuścił głowę. Uklęknął. Nie w geście uległości. Lecz uznania. Theodor uśmiechnął się po raz pierwszy od wielu dni.

— Wybrał swoją ścieżkę. Tak samo jak i my, będzie za tobą podążał.

Eryk ostrożnie wyciągnął dłoń i dotknął czerwonych piór na karku bestii. Zwierzę nie drgnęło. Wręcz przeciwnie – spokojnie pozwoliło mu się pogłaskać. Po chwili Eryk chwycił za pióra przy szyi i jednym, płynnym ruchem dosiadł gryfa. Bestia powoli rozłożyła skrzydła i wydała donośny ryk, który poniósł się echem po całej twierdzy. Rycerze i żołnierze zamilkli. Patrzyli, jak ich dowódca siedzi na grzbiecie stworzenia, które przez pokolenia było symbolem Zakonu Gryfa. Od tego dnia Erykowi towarzyszyły dwa symbole jego drogi. U jego boku niezmiennie kroczył wierny wilk – znak zimy i wytrwałości. Ponad jego głową zaś szybował królewski gryf o płomiennoczerwonym upierzeniu, naznaczony bliznami, który przeżył śmierć, lecz nie utracił swojego ducha. Jedni mówili, że był cudem. Inni, że przekleństwem. Eryk nigdy nie próbował rozstrzygać, która z tych opinii jest prawdziwa. Wiedział jedynie, że tak długo, jak on będzie walczył w obronie niewinnych, ostatni strażnik Twierdzy Gryfa będzie walczył u jego boku.



****

Pośród tych, którzy ujrzeli krwawy słup światła, był również Eryk Kesselman. Nie obserwował go jednak z murów Zimowej Twierdzy ani z pola ćwiczeń swoich wojowników. Ujżał to z grzbietu gryfa, szybując nad swoją maszerującą armią.

Jeszcze tej samej nocy nawiedziła go wizja.

Nie była to modlitwa ani sen. Zimny wiatr ustał, płomienie w palenisku zgasły, a wokół niego zapadła cisza i wypełniona nią pustka. Spośród świetlistej mgły wyłoniły się postacie odziane w złote pancerze. Wysłannicy samego Sigmara, nie wypowiedzieli wielu słów.

„Nadchodzi wojna. Przybądź. Nasz pan ponownie potrzebuje twojej pomocy."



Gdy wizja dobiegła końca, Eryk długo siedział nieruchomo. Jeszcze kilka lat wcześniej wezwanie od samego Sigmara potraktowałby jako zaszczyt. W końcu sam był kiedyś jednym z jego "aniołów". Teraz nie poczuł nic. Wiara, którą niegdyś nosił, dawno wygasła. Zbyt wiele widział. Zbyt wielu niewinnych umierało, podczas gdy bogowie pozostawali niemi. Jego serce należało już tylko do ludzi, których przysiągł chronić, i do pamięci tych, którzy oddali życie pod jego rozkazami. Sigmar przestał być dla niego drogowskazem. Mimo to nie odrzucił wezwania. Nie dlatego, że przemówili do niego niegdysiejsi bracia oręża. Nie oczekiwał też nagrody bogów. I na pewno nie zrobił tego po to, by odzyskać ich przychylność. Pojechał z poczucia obowiązku. Wiedział, że mieszkańcy Wolnych Miast potrzebują obrońców bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Dla wielu z nich imię Eryka Kesselmana stało się symbolem. Imieniem człowieka, który nie opuszczał swoich sprzymierzeńców, niezależnie od tego, jak beznadziejna wydawała się sytuacja.

Dlatego pozostawił Zimową Twierdzę pod opieką swoich kapitanów, dosiadł płomiennoczerwonego królewskiego gryfa i wraz z niewielką eskortą wyruszył na naradę wojenną. Wiedział, że gdy nad światem zbierają się ciemne chmury, obowiązkiem silniejszych jest stanąć pomiędzy mrokiem a tymi, którzy sami nie potrafią się obronić.

